

Ryszard Borowski

Jazzforum, 06/2005

Zanim opowiem dokładnie o każdym elemencie kolejnego jazzowego wydarzenia w stolicy, jakim był trzydniowy festiwal zorganizowany w warszawskiej „Fabryce Trzciny”, najpierw kilka zdań wprowadzających. Program festiwalu ułożony został na zasadzie swoistego crescendo. Już sam początek był ważny i mocny, a później napięcie – tak, jak w przygodowych filmach Spielberga – stale rosło. A więc festiwal rozpoczął koncert „na wpół klasyczny”, wykonany w duecie ze znakomitym wiolonczelistą, **Adamem Klockiem**. Koncert ten, wykonany w Bazylice Ojców Salezjanów miał podniosłą atmosferę i był złożony z dwóch „półrecitali”; ten drugi to występ solowy **Leszka Moźdzera**.

Następny dzień festiwalu to koncertowanie z orkiestrą **Polskiej Filharmonii Kameralnej**, a dzień trzeci wypełniły aż trzy zupełnie różne, niemal pełnowymiarowe koncerty ze znanymi muzykami. Pierwszy z nich to duet amerykańską sławą nowojorskiej awangardy, drugi to występ międzynarodowego **Dream Team Trio** (który „roboczo” określamy jako „ethnic music”), i trzeci, na końcu znowu duet z **Andrzejem Smolikiem** (tym razem określenie odnoszące się tylko do ilości muzyków, bo w brzmieniu była to cała orkiestra!).

We wszystkich trzech koncertach tylko w dwóch fragmentach gra Leszek Moźdzera nie była absolutnie najważniejszym „elementem”; były to niektóre utwory wykonane w czasie pierwszego wiolonczelowego recitalu i duet z **Uri Caine’em**, w pozostałych brylował jako „rządzący” całą akcją solista. Warto też zauważyć, że Leszek Moźdzera jeszcze raz przedstawił swoje dawniejsze projekty, niektóre nawet już na płytach, tak jak duet z Adamem Klockiem, czy Koncert Góreckiego zestawiony z suitą „Siedem utworów...”, a także zupełnie nowe pomysły, które właśnie dzięki festiwalowi „ujrzały światło dzienne” (mam na myśli duety z Uri Caine’em i ze Smolikiem).

We wszystkich tych projektach Leszek Moźdzera posłużył się w większym lub mniejszym stopniu metodą SGIW, czyli Systemem Genialnie Improvizującego Wirtuoza. Choć to w jego przypadku wydaje się oczywiste, podkreślenie tego faktu nie jest bez znaczenia, bowiem brak takiego „systemu” obraca w niwecz wiele, zdawałoby się interesujących, przedsięwzięć jazzowych.

Muzyka nie musi być efektowna i popisowa, ale wtedy powinna być znakomicie skomponowana, zaaranżowana, powinna mieć niezwykły nastrój. Leszek Moźdzera jest kontrolującym wszystko „kompozytorem live” – wtedy, gdy jest to potrzebne, interweniuje swoją improwizacją i w doskonały sposób decyduje o formie i rozłożeniu w niej napięć. A do tego jest prawdziwym wirtuozem, więc muzyka musi być świetna.

## Koncert 1

Duet stworzony przez Leszka Moźdżera i Uri Caine'a zachwyił mnie. Choć bardzo chętnie poznaję rozmaite nowe jazzowe opracowania muzyki klasycznej, to dostępne na płytach Caine'a interpretacje np. Mahlera w ogóle mi się nie podobały. Podejrzywałem nawet, że Uri Caine dlatego gra „nowoczesny” jazz, bo nie poradziłby sobie w „standardowym” stylu. Z Moźdżerem grali niemal same standardy: Waltz for Debbie B. Evansa, Greek Dolphin Street B. Kapera, Someday My Prince Will Come, Yes and No Shortera, ale także Svantetic Komedy, Powitać, powitać L. Moźdżera. To było półtorej godziny (niemal bez przerwy) bardzo poważnego, wirtuozowskiego grania na najwyższym poziomie. To wspaniałe wiedzieć i słyszeć, jak oni reagują błyskawicznie na siebie, na improwizowane dźwięki cały czas coś w muzyce dodając, dialogując, „komentując” i odpowiadając sobie. Nie było przy tym żadnej ostrożności, „badania”, tylko mocne, męskie granie. Wspaniałe! Szczególnie zachwyił mnie Greek Dolphin Street, ale też cały występ miał swoją dramaturgię i szczególnie wzlot. Byłoby znakomicie, gdyby ten koncert można było wydać na płycie i delectować się nim jeszcze trochę.

## Koncert 2

Leszka Moźdżera „Wymarzone Trio” to zespół ze szwedzkim kontrabasistą Larsem Danielssonem i tureckim perkusjonistą z Izraela Zoharem Fresco. Wydawałoby się, że wystarczy tylko zmienić tradycyjny zestaw perkusyjny na instrumenty perkusyjne i okazuje się, że uzyskujemy zupełnie inne brzmienie zespołu, inny rodzaj groove'u. W tym zespole spotkało się trzech wirtuozów o podobnych zapatrywaniach na muzykę i wykonywali tematy, które „pasowały” do ich charakteru. Nazwać ten występ „muzyką etniczną” sugerując się „bębenkowym brzmieniem” byłoby zbytnim uproszczeniem. To muzyka poważna i głęboka, miejscami bardzo nastrojowa i grająca barwami, tworzona dla wrażliwych słuchaczy, którzy potrafią docenić wyrafinowane harmoniczne i rytmiczne improwizacje (przypomnimy, że Daniellson grywa z Liebmanem, a to już przecież najtrudniejszy jazz). Nie jest łatwo pokazać wirtuozerię na instrumentach perkusyjnych, ale Zoharowi Fresco przychodzi to bez najmniejszych kłopotów. Akompaniował np. w całym utworze wyłącznie na tamburynie uzyskując na nim rozmaite, barwne dźwięki wybijane w szalonych rytmach. Na dwa utwory Danielsson zamienił kontrabas na wiolonczelę, a jeden z nich, grany pizzicato, po prostu mnie zachwyił. Na bis muzycy zagrali jeszcze So What Davisa w swojej własnej, „etnicznej” interpretacji. W tym utworze czuć już było zmęczenie muzyków, nie był on tak precyzyjny jak to, co słyszeliśmy poprzednio; ewidentnie było to „kawalek na doczepkę”.

## Koncert 3

Już sam pomysł wykonania, po dwóch bardzo znaczących (z „groźnymi kolesiami” – jakby powiedział Miles Davis), mógł wydawać się ryzykowny. W ostatnim koncercie festiwalu partnerem był Andrzej Smolik, producent płyt Krzysztofa Krawczyka, a przecież Leszek Moźdżer i jego dotychczasowi partnerzy reprezentowali zupełnie inny świat muzyczny. Tylko pozornie wydawało się, że porównanie będzie łatwe. Otóż pomimo nieco wrogiego nastawienia muszę ten koncert pochwalić! Nie można go było porównać z poprzednimi i przypuszczam, że Moźdżer był tego zupełnie świadomy. Pokazał, jak świetny i

inteligentny muzyk może wykorzystać nowości wprowadzane przez współczesną muzykę młodzieżową (tym dziwnym sformułowaniem skwitujemy rozmaite przejawy rapu, hip-hopu, drum'n'bassu itd., bez zagłębiania się w stylistyczne różnice i szczegóły). W ogromnej mierze posłużył się tu wcześniej już wspomnianą metodą SGIW (system genialnie improwizującego wirtuoza). Na koncercie liczy się przede wszystkim efekt, a ten był niezły. Leszkowi Możdżerowi można kazać improwizować do odgłosów traktora, a i tak rezultat będzie interesujący (przypomnijmy sobie McFerrina improwizującego z kapelą podwórkową). Słuchając podkładów przygotowanych przez Smolika, w których oprócz ostrej perkusji było mnóstwo efektów w rodzaju np. odgłosów wyścigów samochodowych, miałem chwilami wrażenie, że właśnie jest to wspomniana sytuacja z traktorem. Możdżer grał świetnie, jego improwizacje otrzymały nową oprawę i zapewne właśnie o to chodziło. Wypełniająca całą salę na stojąco (był ścisk jak w autobusie) publiczność była zachwycona. Dostali to, czego oczekiwali. Ja miałem mocniejsze wrażenia na koncercie z Caine'Em, ale to już może sprawa wieku.